



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

PIOSNKI RÓŻOWE

POŻEGNANIE.

Ja marzę? o czym? o szczęściu? o róży?
O jasnej chmurce, co się w niebie waży?
Świat cały marzeń,— chociaż taki duży,
I choć róż tyle ma na swojej straży—

Zdobyłam jednym westchnieniem miłości:

I teraz każda róża mi zazdrości

Rumieńca twarzy.

Jestem szczęśliwa! Lecz za moją ciszą
Cóżto za odgłos z świata się odzywa?
Ach, inne piersi też pragnieniem dyszą,
Lecz zamiast westchnień—jęk się z nich wyrzywa.

Kiedy ja tonę wśród słodkiego nieba,

One chcą ciepła!—pociechy i chleba!

Czym ja szczęśliwa?

O, precz, wy, róże, barwinki, słowiki!
Miłość jest zbytciem wśród cierpień ludzkości!
Któż śmie tam wdychać, gdzie drżą bólów

[krzyki,—

Kołysać siebie marzeniem miłości!

Ileż to biednych kochać nie ma czasu!

Rwij się więc, nitko lśniącego atlasu.

Przędź nicości!

Odejdź, marzenie, co mnie jedną kochasz
I czarem szczęścia chcesz mnie tylko darzyć!

Tak się roztkliwiasz nad sobą, tak szlochasz,
Trącąc w struny, co się lubią skarżyć
Cicho! Ludzkości ty wprzód słuchaj płaczą:
Jej płacz ci wielką prawdę wytłómaczy—
Że kochać trzeba więcej, a mniej marzyć!

Szczęсна.

ZJAZD TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO

W TARNOWIE.

(Ciąg dalszy).

IV.

Najważniejsza sprawa.

Zdarzyło nam się czytać przed kilkunastu laty wyborną charakterystykę stanu materialnego nauczycieli galicyjskich: była ona bardzo krótka, w formie dyalogicznej.

— Dokąd pan jedziesz?—zapytał poważny jegomość młodszego od siebie mężczyzny w wagonie pociągu, dochodzącego do jednego z portowych miast Europy.

— Do Ameryki szukać chleba, a może i kariery.

— Masz pan jaką specjalność techniczną, jakie kapitały na założenie „interessu“, jakie nowe pomysły?

— Nie, jadę na oślep, na los szczęścia.

— Panie! to szaleństwo; możesz z głodu umrzeć na stepach Ameryki.

— Nie, to niemożliwe, przeszedłem już kwa-

rantannę głodową: byłem nauczycielem ludowym w Galicyi.

Nie ma wątpliwości, że charakterystyka ta dziś mniej-by była wierna, niż przed laty kilkunastu; mimo to przecież materialne i moralne stanowisko nauczyciela ludowego w Galicyi (podobno nie w samej tylko Galicyi) pozostawia wiele jeszcze do życzenia. Zrobiono tam wprowadzić niejedno dla nauczycieli; dziś przecież pokazuje się dużo jeszcze niedostatków, z czego wnosić można, że albo zrobiono za mało, albo to, co na razie było wystarczającym, obecnie, przy szybkich zmianach wszelkich stosunków, przy niebywałym dotąd podniesieniu się potrzeb moralnych, towarzyskich, ekonomicznych człowieka w ogólności, a nauczyciela w szczególności—okazuje się niewystarczającym.

Nie roztrząsamy tutaj, jakiej doniosłości i jakiego wpływu na losy nauczycielstwa była ustawa z d. 2 maja r. 1873 o stosunkach prawnych stanu nauczycielskiego; nie rozpatrujemy tutaj kolei, przez jakie sprawa nauczycielska w całości lub też w pojedynczych kwestjach przechodziła, będąc corocznie na zjazdach Towarzystwa Pedagogicznego traktowaną, a przez Zarząd Towarzystwa w Radzie Szkolnej, u Sejmu i u różnych instytucji popieraną. Od pięknych projektów, wniosków, uchwał, memoriałów, petycji, do rzeczywistości w monarchii austriacko-węgierskiej bardzo daleko; a jeżeli kto, to nauczyciele najwłaściwiej mogą tam powtórzyć sobie przysłowie: „Zanim słonko wszędzie, rosa oczy wyje“. Tą prawdopodobnie przestraszeni maksymą nauczyciele powiatów Kołomyjskiego, Stanisławowskiego i Sniatynskiego, postanowili zwołać wiec we Lwowie, celem zarządzenia najważniejszym niedostatkom dotychczasowego ustawodawstwa szkolnego. W Kwietniu roku bieżącego zawiązał się w Kołomyi komitet wiecowy, który nadzwyczaj gorliwie opracowywał swoje wnioski, a porozumiewał się z Zarządem Głównym To-

warzystwa, mógł odstąpić od zamiaru zwołania wiecu we Lwowie, gdyż wnioski jego pomieszczono na porządku dziennym Walnego Zjazdu w Tarnowie. Wobec tego szło tylko o liczny współudział nauczycieli. Tem się też tłumaczy liczniejszy niż zazwyczaj zjazd w Tarnowie: jedni bowiem na zjazd doroczny dla załatwienia spraw Towarzystwa, inni na wiec przyjechali. Jakoż właściwie były dwa zjazdy, dwie sale obrad w Tarnowie: posiedzenia poufne, przygotowawcze w sali stowarzyszenia „Gwiazda“ i posiedzenia ogólne w sali Kasy Oszczędności. Skoro weźmiemy pod uwagę, że wszyscy wiecowi są członkami Towarzystwa, to uderzyć nas musi takie rozdwojenie, a niektóre objawy szczególną nawet na siebie zwrócić muszą uwagę: gdy np. miasto całe, nie wyjmując nawet nieinteligentnych jego mieszkańców, zbiegło się na odsłonięcie pomnika Brodzińskiego, który-to fakt nietylko dla Galicyi, ale idła całego narodu polskiego nie mógł być obojętnym: wtedy w tej samej, właśnie godzinie pewna liczba nauczycieli ludowych miała poufne swoje narady pod „Gwiazdą“. Nie będziemy dochodzić tutaj, jak wielka doza wicherzycielskich czy rusińskich drożdży sprawę tę pędziła i fermentowała; to tylko jako rzecz najwidoczniejszą zaznaczamy, że Zarząd Towarzystwa i inni uczestnicy zjazdu wszelkich dołożyli starań, aby do rozdźwięku nie dopuścić, aby nie podejrzewać intencji separatystycznej. O zaostreniu sprawy świadczy „Kurier Lwowski“, który z okoliczności wniosków komitetu kołomyjskiego ogłosił w czasie zjazdu artykuł p. t. „Los nauczycieli ludowych“, pełen tak namiętnych napaści na tych wszystkich, co wygłaszają „bezczelne frazesy“ o polepszeniu bytu nauczycieli ludowych, że Nr. odnośny władza skonfiskowała.

Rzecz sama, wnioski komitetu kołomyjskiego dotyczyły wszystkich nauczycieli ludowych galicyjskich, bez żadnego odcienia lokalnego. Wnioski te „zmieniające bądź też uzupełniające ustawę z dnia 2 Maja r. 1873“ grupowały się około czterech tytułów: I-o o mianowaniu nauczycieli; II-o o placach nauczycieli i innych służbowych korzyściach; III-o o karach dyscyplinarnych i wydaleniu ze służby; IV-o o przenoszeniu nauczycieli w stan spoczynku, o wyznaczeniu im pensyi wysłużonych i zaopatrzeniu wdów i sierot po nauczycielach.

Nie mamy zamiaru przytaczać tutaj wszystkich tych wniosków: niektóre z nich, jako dotyczące stosunków galicyjskich, nie mają dla nas znaczenia; inne w samym toku rozpraw były zmieniane, inne jeszcze przez Zarząd Towarzystwa, któremu je przekazano, zmodyfikowane będą; a wszystkie razem chodząc do różnych osób, posłów, władz—przechodząc przez różne reorty procedury autonomiczno-parlamentarnej, odbywając po różnych kancelaryach kwarantanny, dłuższe może niż sztuki dramatyczne w kancelaryi Teatrów Warszawskich; dotyla zmienić się mogą, że nateraz przynajmniej śmiało wstrzymać się możemy od ich rozpatrywania.

Rozprawy nad temi wnioskami, jak już wyżej zaznaczyliśmy, ciągnęły się przez wszystkie trzy dni zjazdu, a połowa ich nie dotyczyła istoty rzeczy, lecz tylko formalnej strony i zażegniania burzy, która co chwila zerwaniem się groziła. Niejeden mówca po to tylko zabierał głos, aby wypowiedzieć w konkluzji, że obrady toczyć się powinny „rozważnie i z umiarkowaniem“. Gdy na wstępie zażądano, aby wszystkie wnioski bez dyskusji zgromadzenie przyjęło, wywiązała się właśnie długa dyskusja, ale nie nad wnioskami, tylko nad ich stosunkiem do obrad zjazdu. Zdobyto nareszcie tę wielką prawdę, że... po dniu noc następuje, t. j. że członkowie Towarzystwa roztrząsając mają na zjeździe sprawę, całe Towarzystwo obchodzącą. Z trudem tedy członkowie Towarzystwa wywalczyli możność obradowania w kwestyi, która nie po co innego chyba mieściła się na porządku dziennym, tylko po to, aby przysła pod obrady. „Piotr krzychał: gaście ogień; Jędrzej: ogień gaście“.

Przechodząc do rzeczy samej, przyznać trzeba, że motywa wniosków były nadzwyczaj wyczerpujące; referent, p. Kawalec, nauczyciel z Kołomyi, przygotował dość spory rękopis. Kryty-

ka dotychczasowego sposobu mianowania nauczycieli, przy którym, nie zasługa, ale protekcja, dowolność Rady Szkolnej miejscowej, dającej prezentę, decyduje; była bardzo interesująca, jako sięgająca głębiej w następstwa takiej manipulacji. Wnioski przeto, zmierzające do sprawiedliwego mianowania nauczycieli podług ich kwalifikacji, lat służby i zasługi, odejmujące wpływ radom miejscowym—jako zbyt radykalne, zbyt wiele poruszające drażliwości, musiały długą wywołać dyskusję, z której wypłynęło, że taki węzeł nie da się przeciąć odrazu. Wielu mówców zapisanych do głosu mogło się do niego dobrze przysposobić, gdyż posiedzenie dnia tego zawieszono.

W drugim dniu obrad wypowiedziano wiele mów, które doprowadziły do tego, żeby wniosek o mianowaniu nauczycieli „bez dyskusji“ załatwić. Przy zastosowaniu tego tytułu do nauczycielek, panowie wnioskodawcy taki zrobili (pod względem nawet stylistycznym niedołężny) dodatek: „Kobiety w szkołach męzkich pod żadnym warunkiem, w szkołach zaś mieszanych samostnej posady zajmować nie mogą, a kierownictwo w szkołach żeńskich, począwszy od pięcioklasowych, ma być poruczane li-tylko nauczycielom (nie nauczycielkom)“. W imieniu i obronie kobiet zabrała głos pani Scisławska, nauczycielka w Tarnowie. Sądźmy, że wyjątki z tego przemówienia, łaskawie nam przez poważną mówczynię udzielonego, nie będą bez interessu dla czytelników i czytelników *Bluszu*, pisma sprawom kobiet poświęconego.

V.

Wyjątki z przemówienia nauczycielki w obronie praw kobiety.

Panowie! Wybrana przez koleżanki za rzeczniczkę w tej ważnej sprawie, oświadczam w imieniu wszystkich zebranych tu nauczycielek: że z wnioskiem wiecowym wcale się nie zgadzamy. Wniosek ten dzieli się na trzy punkta, a każdy z nich jest zamachem na moralne i materialne prawa kobiety. Punkt pierwszy dąży do odebrania nam prawa szukania pracy i chleba w szkołach ludowych męzkich. Punkt drugi zaprzecza nam samodzielnych posad przy szkołach mieszanych; a trzeci targnął się na niezaprzeczane, święte prawo nasze,—prawo całkowitego wychowywania i kierowania wychowaniem płci własnej!

Panowie! My nie wdzieramy się w wasze prawa, nie myślimy rugować was z posad waszych; ale dla czegoż nie miałybyśmy w razie potrzeby zająć się wychowaniem i nauczaniem chłopców małych, w niższych klassach szkoły ludowej?

Kobieta stworzoną jest do wychowania młodego pokolenia; sam Bóg, przeznaczwszy ją na matkę, oddał w jej ręce wychowanie całej ludzkości—tak słabszej, jak silniejszej połowy.

Któż-to stawia pierwsze kroki chłopięcia na drodze życia? Kto sieje w serce jego nasiona cnót moralnych i obywatelskich—jeżeli nie kobieta-matka?

Twierdząc śmiało, że wszelkie prawdy naukowe, które nam uczeni professorowie odkryli, jeżeli nie mamy w nich ćwiczenia, ulatniają się po kilku latach z pamięci; a zasad moralności i cnoty, które w sercu dziecka zasiała matka, a pacierza, którego nas ona w niemowlęctwie nauczyła, nie zapomni uczciwy człowiek nigdy; pacierz zaś ten, zasady owe będą pociechą i osłoda ostatnich chwil jego życia, i krzepić się nimi będziemy nawet na śmiertelnej pościeli! Dla tego mam współczucie dla chłopięcia, w którego wychowaniu matka udziału nie miała! Na jakiej więc podstawie odmawiacie, Panowie, kobietom zdolności i prawa wychowywania i nauczania chłopców w niższych klassach szkół ludowych? W Ameryce, nietylko całe wychowanie elementarne spoczywa w rękach niewieścich, ale także w wyższych szkołach męzkich kobiety uczą z korzyścią; co więcej—zobaczyć je można nawet na krzesłach sędziowskich! My, w Europie, tej

starej Europie, która pozwoliła młodej Ameryce wyprzedzić się na drodze ogólnej oświaty ludowej, nie mamy tak pysznych dążeń. My—powtarzam—nie wdzieramy się, i wdziarać się nie chcemy w prawa i przywileje wasze! My rozumiemy, że królestwem kobiety, jest dom męzowski, a najpiękniejszym jej zadaniem: strzeżenie rodzinnego ogniska, wychowywanie dzieci i osładzanie mężowi twardych i gorzkich częstokroć obowiązków życia.

Ale, niestety! nie każda kobieta może być kapłanką rodzinnego Znicza! Jest pomiędzy nami bardzo wiele niezamężnych, potrzebujących chleba; jest wiele zamężnych, których mężowie w dzisiejszych krytycznych czasach nie mają dostatecznych środków do wyżywienia licznej rodziny; jest wiele wdów, mających dziatki nieletnie, które wołają: chleba! W jakim więc sposób istoty te pracować mają na utrzymanie własne, lub dopomagać rodzinom swoim?

Panowie! Wam stoi otworem tyle dróg, na których możecie szukać chleba i uczciwego zarobku! Świat cały zajęć i pracy leży przed wami! Urzędy autonomiczne, administracyjne, sądownictwo, adwokatura jest w waszych rękach wyłącznie. Komu nie podoba się żaden z tych zawodów, może zostać notaryuszem, lekarzem, profesorem, kupcem, przemysłowcem, rzemieślnikiem; w ostateczności macie wojskowość, gdzie każdy zdrowy i silny młodzian znajdzie chleb i zajęcie.—Cóż pozostaje dla kobiet, potrzebujących chleba, a szukających uczciwego zarobku? Powiecie zapewne: „Iglą!“ Ależ, Panowie! pamiętajcie, że wiek XIX to wiek fabryk, kolei żelaznych i maszyn;—czyż więc potrafi kobieta zarobić w tych czasach igłą tyle, by dostatecznie wyżywić siebie i przynieść pomoc rodzinie? Prócz tej okoliczności trzeba zważać i na to, że niejednej z nas słabe siły fizyczne nie pozwolą śleźć nad igłą od rana do nocy; niejednej znowu wzrok słaby nie pozwala zająć się tą żmudną pracą. A zatem powiedzcież: coż nam pozostaje?—Torba i kij żebraczy!

Abym uniknąć tej ostateczności, kobiety na uczciwej drodze, w stosownym dla siebie zawodzie, szukają kawałka chleba. A któryż zawód jest dla niewiasty stosowniejszym od zawodu nauczycielskiego, do którego ją powołuje sama natura? Czyż więc możecie brać za złe kobietom, że na tem polu rywalizują z wami; że szukają posad przy szkołach mieszanych, do których przecież uczęszcza znaczna liczba dziewcząt, potrzebujących opieki niewieściej; że wreszcie czasem przyjmują posady nawet w najniższych klassach szkół ludowych męzkich? Mówię „czasem“ bo tylko zmuszone niesprzyjającymi okolicznościami, ubiegamy się o takie posady. —Kiedyż zaś wysokie władze szkolne nadają nauczycielkom posady przy szkołach męskich? Oto: także w ostateczności, wtedy, kiedy—że się tak wyrażę—potrzeba koniecznie dziurę załatać. Zdarza się niekiedy, że przy jakiejś szkole braknie nauczyciela; czyż więc nie lepiej, że zastąpi go tam zdolna, wykwalifikowana nauczycielka, niż powołany z konieczności człowiek bez kwalifikacji, bez wyobrażenia o szkolnictwie—lub taki, który może jadł już chleb z jednego pieca, nigdzie miejsca nie zagrażał, wreszcie rzucił się na pole szkolnictwa ludowego?—Jakaż rękojmia, że człowiek taki nie zdemoralizuje dziatwy? Któż może twierdzić, że nauczycielka mniej korzystnie działać tu będzie?

Co do kierownictwa przy szkołach męzkich, a nawet mieszanych, oświadczam w imieniu wszystkich koleżanek, że żadna z nauczycielek nie ma ani ochoty, ani pretensyi do tego urzędu. —Stać na czele kilku lub kilkunastu męczyzn, kierować i rządzić nimi, byłoby dla kobiety o tyle trudnem, jak nieprzyjemnem zadaniem.—Co więcej! stanowisko takie ośmieszałoby ją w oczach płci własnej.—Jeżeli więc zajmujemy tu i owdzie posady nauczycieli, to tylko podrzędne; a w takim razie słuchamy was, Panowie! z całą uległością i nadal przyrzekamy wam posłuszeństwo we wszystkich kwestyach, odnoszących się do urzędowania naszego. Ale kierownictwo szkół żeńskich, chociażby najwyższych, zupełnie do nas należeć powinno.

Urząd kierownika, czy dyrektora, jest bardzo

ważny. Dyrektor ma prawo nadzoru i zarządu szkoły; czuwać on powinien nad ścisłym przestrzeganiem przepisów regulaminu. — Ale przy szkołach żeńskich przybywa mu jeszcze jedno zadanie, niezmiernie ważne a trudne: pokierowanie wychowaniem dziewcząt tak, aby ze szkoły wychodziły, nie tylko wykształcone kobiety, lecz i poczciwe żony, zacne matki, cnotliwe obywatelki. — Wychować dobrze kobietę, to znaczy wychować dobrze ludzkość całą!

A komuż przystoi uczyć obowiązków życia młoda dziewczynę: mężczyznę czy kobietę?

Do wyższych klas szkoły wydziałowej żeńskiej uczęszczają panienki pomiędzy 14 lub 15, a 17, 18, a nawet 19 rokiem życia. Czyż dziewczęta w tym wieku mogą w drażliwych kwestiach udawać się z zaufaniem do dyrektora po radę, zwłaszcza jeżeli ten nie jest jeszcze starcem?

Dalej: Jakże trudno mężczyźnie wpłynąć w niektórych razach na młodą panią? — Są kwestye, o których mężczyzna-wychowawca (z wyjątkiem chyba tylko ojca) nigdy z wychowanką rozmawiać nie powinien.

Ale dam pokój rozbiorowi tej kwestyi; — zbyt daleko mogłoby to nas zaprowadzić! Powiem tylko, że wy, Panowie! umiecie rozprawiać o wadach i przymiotach płci naszej; ale wychowywać nas nie potraficie, do czego zresztą przynajmniej się sami. Ze znacznej liczby wdowców, którzy mają córki, osierocone przez matkę, połowa przynajmniej żeni się powtórnie jedynie z tego powodu, aby dziewcząt nie pozbawiać dobroczynnego wpływu kobiecej opieki.

Gdyby ojciec sam wychowywał dziewczynę, to albowi ją rozpieścił, rozkaprysił i zrobił istotą nieznosną; albo wychowaniem mężkiem uczyniłby z córki ni to, ni owo: pół mężczyzny, pół kobiety; albo nareszcie wykierowałby ją na pedantkę i stłumił najpiękniejszy wdzięk niewieści: szczerość, żywość i swobodę umysłu.

Pojmują to dobrze troskliwi ojcowie, i dlatego bardzo rzadko biorą się sami do wychowywania córek, a zwykle, jeżeli nie drugą matkę, dają dziewczętom ochmistrzynię lub guwernantkę. Skoro więc mężczyzna nie potrafi wychować własnych dzieci płci żeńskiej, to jakże można mu powierzać całe setki dziewcząt w szkole?

Idźmy dalej! Cóżbyście na to powiedzieli, Panowie! gdyby wpadło do głowy któremu mężczyźnie otworzyć konwikt żeński i samemu stanąć na czele takiego zakładu? — Któryż rozsądny ojciec umieściłby tam córkę swoją? Któraż matka powierzyłaby z zaufaniem dziewczynę takiemu ochmistrzowi kobiet, który koniecznie, nie tylko niestosowną, niepowołaną, ale nawet śmieszną być-by musiał figurą. A panowie wymagacie, aby zjazd nauczycielstwa z całej Galicyi uchwalił, że tylko mężczyzna ma być uważany za jedynie zdolną i odpowiednią osobistość na dyrektora zakładu naukowego dla płci żeńskiej?

Czy to postęp cywilizacji wyrobił w umysłach waszych, Panowie! tę zmianę przekonań?

My na taką zasadę godzić się nie możemy i twierdzimy, że przez wzgląd na moralność i dobre wychowanie wszystkie posady przy szkołach żeńskich, a osobiście posady kierowniczek, powinny być obsadzone tylko kobietami.

Panowie! żądanie wasze obsadzania posad kierowniczek i dyrektorów mężczyznami jest podwójną, a ciężką krzywdą dla nauczycielek: krzywdą moralną i materyalną! Moralną: ponieważ w ten sposób odmawiacie nam zdolności i roztropności do pokierowania wychowaniem płci własnej; materyalną: bo chcecie nas pozbawić intratniejszych posad.

Słyszałam was nieraz, wygłaszających piękne i wzniosłe zdania o chrześcijańskiej sprawiedliwości, zacności duszy, szlachetności serca; czy te zdania były tylko czczemi frazesami? Zaprawdę! nie bardzo chrześcijańskim było to serce, nie bardzo wzniosłym umysł, w których się zrodził wniosek, dążący do bolesnego pokrzywdzenia płci słabej!

Czy w wieku XIX wraca średniowieczne prawo pięści, prawo mocniejszego? Mnie się zdaje, że wy, Panowie! wskrzesić je chcecie, z tą różnicą, że w owych czasach, czasach barbarzyństwa i ciemnoty, silniejszy krzywdził słabszego bez

roźnicy płci i wieku; a płeć słaba miała nawet u pół-dzikich mężów poszanowanie. Dziś płeć silna targa się na niewiaścę; mężczyzna staje przeciw kobiecie i wydziera ze słabej dłoni jedyne berło, które się jej słusznie należy; odbiera prawo, które sam Bóg jej nadał i sprawiedliwość ludzka przyznała, prawo: wychowywania młodej dziatwy obojej płci w ogólności, a swojej płci w szczególności!

Panowie! na jakiej podstawie tę podwójną krzywdę wyrządzić nam chcecie? Wszakże kwalifikacye i patenta nauczycielskie mamy takiesame, jak wy, a patenta te wydają nam kommissye egzaminacyjne, z mężczyzn złożone. Pracujemy tyle i tak, jak wy: więc też mamy prawo do równego z wami wynagrodzenia.

W imieniu wszystkich nauczycielek nie godzę się na odebranie kobietom kierownictwa przy szkołach żeńskich, nie godzę się na usunięcie nauczycielek z posad samodzielnych po wsiach — i wnoszę, aby Szanowne Zgromadzenie nad odnośnym wnioskiem przeszło do porządku dziennego. Oświadczam zarazem, że jeżeliby wniosek ten z powodu, że Panowie jesteście liczniej tu od nas zgromadzeni, został przyjęty — wszystkie nauczycielki w całej Galicyi podniosłyby protest i pewnie znalazłyby poparcie w wysokich władzach szkolnych.

Dokończenie nastąpi

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

„Florenca, od czasu, jakśmy ją zwiedzali razem, przeżyła straszną kryzys, na chwilę była stolicą; a teraz ma być znowu pustką, tem więcej rażąca, że rozmiary jej urosły i pustynia stała się widoczną.”

„Jest to jakby rozwiedziona małżonka królewska — płacząca po tym, co ją opuścił, i żal mająca do niego.”

„Chciałem się wybrać do gospody z grotą — w której — pamiętasz, jedliśmy tak wesoło podwieczorek tak obrzydliwy... Jużem się przygotował na tę wycieczkę, już miałem kapelusz w ręku. Przyszła myśl — po co? i zostałem w miejscu, słuchając z okna hotelu ryku osłów w porcie. Co za chór! jaka muzyka! Orkiestra Wagnera!

Bolonia.

„Nie pytaj mnie: dlaczego jechałem na Bolonię? a nadewszystko: dlaczego się tu zatrzymałem? Dwie pochyłe wieże ze swemi dziwaczniemi imionami przyciągnąć tu nie mogły, bo niema dla mnie przykrzejszego widoku nad owe upadające budynki, które paść nie mogą. Nekropolis drugiego piętra pod Campo Santo także mnie tu sprowadzić nie mogła, bo nie jestem dzięki Bogu, archeologiem. Przypomniałem sobie cichy ów ogromny hotel Niemca, w którym było nam dosyć dobrze, i miło. Teraz znalazłem w nim, zapewne przypadkiem, mnóstwo Anglików popasających.”

„Po obiedzie zeszedłem na dół w to podwórce, gdzieśmy kawę pili, i siadłem przy stoliku. Bawię się teraz odgadywaniem ludzi, po twarzach, i peryodów ich bytu, po fizioznomiach. Jedni są w nadziejach, drudzy już u celu. — zdziwieni, że to co osiągnęli, teraz się im inaczej wydaje, niż zdawała; inni wreszcie już po nadziejach i porozczarowaniu, a najbiedniejsi — w stadium powtórnej próby.”

„Ja stoję już po za temi wszystkimi szrankami — i już się niczego nie spodziewam i niczego nie boję.”

„Przysłuchując się rozmowom prowadzonym dookoła, nagle usłyszałem dźwięki — naszej mowy.”

Uwierzysz ty? Zadrżałem cały! Uczyniło to na mnie wrażenie, jakiegom się nie spodziewałem.

Odosobniona, siedziała para młodych ludzi — naturalnie — on i ona. Domyślałem się, że odbywają podróż poweselną, według nowego obyczaju. Pani, błada i zmęczona, wkładała pracownicę rękawiczki, widocznie tylko, aby być czemś zajętą; on patrzył na posadzkę kamienną, stukając w nią laseczką. Kiedyniekiedy zamieniali parę słów obojętnych. Oboje mieli już coś sobie do wyrzucenia. On jakąś wycieczkę ułożył; ona była jej przeciwną. Groziło to rozczarowaniem.

Szczęście ich wyglądało dziwnie już skrzeplem i zimnem. Miłość zeszła na chleb powszedni, a klimat, niebo i czarowny widok Włoch nie mogły jej odżywić. Uczucie to ma także swój punkt kulminacyjny, którego dosięgłszy, powoli zniża się ku horyzontowi.

Brzmiały mi dźwięki tej mowy, jak coś czarodziejskiego.

Wiesz to z obserwacji psychologów, że człowiek, umierając, nie może mówić innym językiem — tylko tym, którym pierwszy raz w dzieciństwie przemówił. Nawet w tak obumarłym, jak ja, człowieku muzyka tego słowa mojego ducha — grała czarodziejsko.

Nie wiem, czym rozumiał i uważał, co mówili; nie potrzebowałem słów, aby się domysleć, co mieli w duszy — słuchałem tylko czarownych dźwięków języka.. Mój Boże!!

„Jutro, niewidząc Ś. Cecylii, ani całej szkoły Bolońskiej w Muzeum, wyjadę do Floreny.”

„Miasto, ze swym ogromem pustym, wymarłym, ubogim, śpiącym — jak bardzo wiele miast włoskich — sprawia na podróżnym smutne wrażenie — jakby wczoraj przeszedł przez nie mór lub wojna. Mury olbrzymie, galerie na milę długie, a pod niemi ledwie się powoli przesuwa jakaś sieroca postać — ze znużeniem i ospałością, jakby się jej żyć nie chciało. Bolonia z tych czasów, gdy uniwersytet z całego świata sprowadził uczniów tysiące — nie istnieje. Z europejskiej wszechnicy stała się małą, prowincjonalną. I tu niestałość rzeczy ludzkich, ustawiczna zmienność prądów życia, straszliwie się uwidatnia.”

„Któż wie? za kilkaset lat, co będzie z miastami europejskimi? Ruiny Palmyry i Tebów! Cywilizacya i życie mogą się przenieść do Afryki lub Ameryki. Stara Europa pozostanie schronieniem inwalidów i porośnię chwastem na ruinach.”

Wierzbęta, w którego wstąpiła nadzieja przywrócenia przyjacielowi nazwiska i położenia w świecie, jakie mu się należało — ostrożnym był nado, ażeby zawczasu się zwierzyć albo pannie Michalinie, albo samemu Sylwanowi.

Wiedział, że Horpiński byłby się oparł wszelkim staraniom, a pannie nie chciał przedwcześnie obiecywać, co się jeszcze mogło nie ziścić.

Pracował usilnie, gorączkowo, ale w największej tajemnicy. Tymczasem to, co Pruszczyc obiecywał tak rychło i tak łatwo, przeciągało się bez końca.

W Zaborowie stara Zawierska chorowała. Pomimo, że interessa zostały uratowane, sam sposób zagadkowy, w jaki się to dokonało, nie podobał się jej, a rozwiązanie nie zaspakajało. W miarę jak na zdrowiu coraz się czuła gorzej, niepokoiła się o los Misi, a niepokój oddziaływał na zdrowie. Nikła tak w oczach, — a panna Michalina, bystro widząc wszystko, czytając w jej duszy, nie mogła się ludzi; wiedziała, że była przyczyną tego stanu matki.

Gryzła się tem, podwajała czułość, starania; płakały obie: nic to nie pomagało.

Zawierska miała stryjecznego brata, z którym stosunki bliższe od bardzo dawna były zerwane, nie dla tego, ażeby się dwie te gałęzie rodziny poróżniły, ale z powodu, że dawniejszy pan Tadeusz Borak, a dziś baron galicyjski von Borak, mieszkał w Wiedniu, gdzie oddawna dosyć wysokie zajmował urzędowe stanowisko.

Nosił on już tytuł excellencyi, miał być bogatym, żonaty był z Węgierką, i choć się narodowości

nie zapark, samem życiem stał się jej prawie obcym. Bardzo rzadko, kiedyniekiedy, pisywano do siebie,—ale wiadano o sobie. Excellencya miała syna i córkę, dobra w Galicyi i majątności na Węgrzech, pałacyk w Wiedniu i willę w Baden.

Mówiono o panu baronie jako o bardzo zacnym, wykształconym, ale nieco skosmopolityzowanym człowieku. W strapieniu swem, szukając komu by się zwierzyła, Zawierska napisała bardzo długą, smutną a szczery list do barona. Dosyć długo nie odbierała odpowiedzi; naostatek nadeszła grzeczna, uprzejma, krótka, że pan baron Tadeusz odwiedzi Zaborów i starać się będzie, lepiej poznawszy położenie, radzić i przyjść w pomoc Zawierskiej.

List ten poruszył, ożywił, pokrzepił niemal biedną matkę, która się rzuciła natychmiast do przygotowań na przyjęcie kuzyna; chciała, aby jej dom, pomimo tego, co uciierała, nie wydał się excellencyi zbyt opuszczonym, zacofanym, barbarzyńskim.

Misia była trochę przeciwnego zdania: utrzymywała, że należało niewystawnie, z wielką prostotą przyjąć barona—ale matce chorej się sprzeciwić nie mogła. Odświeżono więc, co się tylko dało, i czekano na zapowiedziane odwiedziny. Poprzedziło je oznajmienie dnia i godziny niemal.

Zaborów mógł wystąpić w całym blasku swego wdzięku starej wiejskiej szlacheckiej rezydencji.

Baron Tadeusz od tak dawna był najpierw obywatelem Galicyi, potem urzędnikiem austriackim w Wiedniu, iż nie mógł nie uleść prawu przetwarzania się stosownie do środka tego, w którym życie płynie. Stał się typowym szlachcicem galicyjskim,—mówmy panem, (miał do tego prawo)—i Wiedeńczykiem, a naostatek Wiedeńczykiem biurokratą. Każda biurokracya ma swe cechy odrębne.

Powierzchnowość miał arystokratyczną, formy najwykwintniejsze, znajomość języków wielką, bo w Austrii jest ona warunkiem społecznego życia. Zresztą był to człowiek prawy, uczciwy, przytem praktyczny i szanujący przyjęte zwyczaje, niesięgający myślą wysoko, spokojny—ale godność swą arystokratyczną, imię, stanowisko ceniący wielce.

Podział społeczeństwa na klasy, który dotąd nawet w życiu parlamentarnem Austrii się utrzymał, był dla niego artykułem wiary.

Domysleć się łatwo dopełniających przymiotów barona, który lubił sztukę, miłował muzykę, czytywał, co powinien był czytać.

Sześcioletni przeszło, baron nie wyglądał nawet na pięćdziesiąt, tak się starał nie starzeć i być krzepkim. Mówiono cicho o jego życiu w Wiedniu bardzo różnie, lecz przyzwoitość była zachowaną.

Syn Alfred służył już wojskowo, ale słabe jego zdrowie, jak mówiono, zmusiło go do porzucenia służby. Wychowany przez matkę Węgierkę (teraz już nieżyjącą) mając wujów na Węgrzech, Fredę potrosze zarywał na madyara. Był to młodzieniec wychowany popańsku, nadzwyczaj pieśczone, delikatny, dobry, łagodny—słaby, ale pomimo to, naprzekór swej naturze, udawał zuchowatego Węgra. Ta sprzeczność istotnego charakteru z fizjognomią stanowiła oryginalność Fredziana. Ojciec był do niego nadzwyczaj przywiązany.

Młody baron był piękny jak laleczka, tak jak Węgry i Węgrowie być umieją, gdy się im podobą.

Jednego poranku wiosny zjawił się powóz, kołmi pocztowymi zaprzężony, i w ganku wysadził barona Tadeusza, Fredziana i kamerdynera, który zapytał o apartament wyznaczony dla gości.

Panna Michalina chciała wyjść na przywitanie, zastępując trochę cierpiącą matkę, lecz widok Alfreda ją wstrzymał.

W parę godzin potem wszyscy razem byli w salonie i—robili prawie nową znajomość z sobą, bo baron i Zawierska zaledwie niegdyś się spotykali na świecie.

Baron rozpoczął od pochwał rezydencji w Zaborowie; Fredę, naturalnie, dostał się do zabawiania pannie Michalinie. Dzień zeszedł bardzo przyjemnie, bo wszyscy czuli się ku sobie sympatycznie usposobionymi.

Panna Michalina pod madyarską butą Fredziana doskonale odgadła dobry i łagodny jego temperament. Okazało się po południu, iż ex-huzar był namiętnym, choć niebardzo szczęśliwym, akwarellistą. Mówiono o sztuce, o Wiedniu, o galerii, o Makarcie... o wystawach—o nowych książkach.

Tymczasem Zawierska na uboczu zwierzała się baronowi ze wszystkich trosk, z położenia, z obaw o przyszłość.

Baron dodawał jej mężstwa—starał się natchnąć nadzieją najlepszą, ofiarował usługi—zachęcał, aby przybyły do Wiednia dla doktorów i rozrywki.

Nazajutrz kilka osób z sąsiedztwa zaproszono na obiad, między innemi i naszego Wierzbietę—starano się przyjmować i zabawiać, aby dłużej tu zatrzymać Excellencyą. Baron się doskonale bawił: najpierw, że miał sobie za obowiązek okazywać to przez grzeczność, powtóre, iż mu się dosyć tu podobało wszystko, a szczególnie panna Michalina.

Kochał on Fredkę, znał jego słabość, szukał mu kobiety, któraby go poprowadzić mogła, nie czyniąc męczennikiem—i Misia wydała mu się jakby stworzoną na idealną żonę dla syna.

Nie potrzebujemy mówić nawet, że Fredę się zakochał pierwszego wieczora; należało to do jego obyczaju, rozmiłowywał się niezmiernie łatwo, ale też zapominał prędko. Serce miał bawelniane.

Pierwszego wieczora też p. Zawierska, spoglądając na Michalinę przy Alfredzie stojącą, westchnęła, myśląc jakaby to była para cudowna; nie sądziła jednak, aby Fredę taką wiejską pannienką mógł się zaspokoić, a tem mniej ojciec.

Przy obiedzie, baron, gdy chciał, czarujący uprzejmością, zdobył serce dziekana, dwu sąsiadów, p. Zawierskiej, a Wierzbietę się wydał bardzo miłym. Na Fredkę spoglądano, niemożąc się w nim rozczepać naprędce. Pół Polak, pół Węgier, trochę Austriak, dziwnie wyglądał, obco—ale nie mu nie można było zarzucić.

Wierzbietę z powodu stosunków z Zawierskimi, czuł się w obowiązku zaproszenia tych gości do Makolągwy, choć wiedział, że go żona za to połaje. On się też chciał swoją szlachecką chatą i szczęściem pochwalić.

Zaproszenie przyjęto.

Zawierska w pierwszym dniu bardzo zręcznie kazała badać kamerdynera barona: jak długo miał zamiar tu bawić. — Odpowiedź brzmiała: dni parę—gdyż urlop upływał i baron musiał się stawić do Wiednia.

Tymczasem trzeciego dnia mowy o wyjeździe nie było. Baron się nie kazał nawet prosić—mówił ciągle, że mu tu dobrze.

W rozmowach poufalskich z Zawierską baron opowiadał jej o sobie, rodzinie, wojskowym bycie, nadziejach, z wielkimi szczegółami. Często też mówił o swoim Fredku i o jego przyszłości, o postulatach małżeńskich dla niego.

Gdy się to działo w jednym końcu salonu, w drugim Fredę się kochał i starał przypodobać kuzynce, dla której miłym był, lecz razem bardzo obojętnym. Przyznała się przed matką złośliwie, że jej przypominał ślicznego, o jedwabnych włosach i różowym nosku, delikatnego affen-pinczera.

Zawierska się rozgniewała za porównanie; ale miał nawet takie czarne, jak gałeczki, oczy błyszczące a nie mówiące nic.

Fredę trzeciego dnia był tak rozkochany, iż się ojcu przyznał do tego.

Baron, który tych miłości przeżył już kilka w synu, odpowiedział mu, że pragnąłby, aby miłość ta była stałą, bo p. Michalina na nią zasługiwała.

Rozumie się, iż pomimo rozmiłowania się i półsłówek, których Misia zrozumieć nie chciała lub brała je jako dowody przywiązania braterskiego, nie przyszło do żadnych dobitniejszych oświadczeń.

Baron z synem, zabawiwszy przez tydzień, odjechał, zapraszając do Wiednia i—obietując się też sam utrzymać nadal ściślejsze stosunki.

Mówił o tem, że jeśliby sam przybyć nie mógł, przysła przynajmniej Alfreda.

Pani Zawierska czuła, że mógł osnuć plan jakiś—ale nie śmiała jeszcze uwierzyć w tak wielkie szczęście.

Zaraz po odjeździe tych panów rozpoczęły się wynurzenia matki, która gwałtownie dowodzić poczęła, iż gdyby Fredzio się starał, Misia powinna wyjść za niego. Dodawała, że toby jej życie przywróciło, zdrowie oddało.

Michalina milczała smutna. Pocieszała się tem, iż Wiedeńczyk poważnie o niej myśleć nie mógł.

Tymczasem, niestety! Alfred, któremu ojciec dopomagał do rozmiłowania się, którego przesładował, podbudzał, utrzymywał w tym stanie rozmarzenia—wistocie zakochał się mocniej, niż był zwykły, w Zawierskiej.

Wziął to tak dalece do serca, że w miesiąc potem, pod pozorem bardzo niepozornym, odwiedzenia majątku galicyjskiego, niezbyt odległe położonego, przybył do Zaborowa.

Miało to już znaczenie dobitne.

Panna Michaline pobladła, matka zrobiła jak najserdeczniejsze, pieściotliwe przyjęcie. Fredę nie odstępował pięknej kuzynki.

Wczasy bytności jego powtórną w Zaborowie nadjechał z wizytą Wojtek. Nie potrzebował wielkiej przenikliwości, aby się domysleć, jak rzeczy stały. Przywiózł był właśnie Misi urywek z dziennika podróżującego Sylwana.

— Mam pani powinszować? — zapytał pocichu, wskazując oczyma na Alfreda, który nadskakiwał mamie.

— Wistocie, byłoby to może do powinszowania każdej innej istocie, mniej niż ja zepsutej—odezwała się Misia.—Baron Alfred jest i miłym i dobrym chłopcem—ale...

Spuściła oczy.

— Biedny baron! — westchnął Wojtek — żał mi go.

— Kto z nas biedniejszy, ja nie wiem — odpowiedziała Misia.—Przed panem, jako opiekunem i przyjacielem, nie potrzebuje się tać. Matka moja tak sobie życzy tego—małżeństwa, tak jest chorą, podrażnioną, nieszczęśliwą, tak ono jej potrzebne jest dla uspokojenia—że...

Westchnęła p. Michalina, niedokończywszy.

— A! pani!—zawołał Wojtek litością, zjęty — Matka tego po pani wymagać nie może, a pani takiej ofiary czynić nie powinna!

— Dlaczego? — odparła, oczy podnosząc, Michalina.—Tak, byłoby to ofiarą, bośmy z pewnością nie stworzeni dla siebie; ale czyż godzi się, aby dziecko, przyjmując ofiary ciągle, nie chciało jej nigdy z siebie uczynić? Szczęście ludzkie zawsze jest bardzo problematycznym, a poświęcenie się daje spokój ducha, który nie jest do pogardzenia.

Coś, jakby łaza niedokończona, zakreśliło się w oczach Michaliny.

Wojtek, który o sprawie dokumentów, tyczących się pochodzenia Sylwana, miał bardzo niepełne wiadomości, nie chciał nawet napomknąć o tem Michalinie, choć bardzo pragnął coś jej powiedzieć.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Lipcu.

Miejsce kąpielowe „Wiedeń”. — Kolonie wakacyjne dla dzieci; dla dorosłych. — Znaczenie szkoły haftów pani Bach. — Wystawa ułatwień dla drobnego przemysłu. — Dwie wystawy artystyczne.

(?) Niema jak w Wiedniu. Gdziekolwiek kto wyjechał, musiał ostatecznie zatrzymać się w Karolinie, w Witriolowie albo w Siarkowicach; i cóż

zyskał? Ani przeciw upałom, ani przeciw gru-
dom i mrozom, które prawie w parze idą z upała-
mi, niema się tam czym bronić i cierpi się rozmaite
niewygody. Tymczasem w Wiedniu rozkosznie;
ani w obrębie rogatek, ani poza niemi niema kwa-
rantanny; woda pyszna, doktorzy cudowni, dezin-
fekcja wspaniała. Gdzie spojrzysz—czujesz; aro-
mata apteczne biją w nos, ogarnia cię coś nie-
skończenie chemicznego; w Stadtparku miesza się
woń róż i lip z rdzą żelaza. Strumienie szumią
pod ziemią i nad ziemią; święto codziennie; wszę-
dzie czyszczą, myją, szorują, biela, pokostują i
nawet przez schroniska i noclegi ubogich wieje
powietrze chemiczne; nawet najstarsze łożyska
nazienne i podziemne, zamieniają się w górskie
potoki, zasilane z wodociągów alpejskich. A przy-
tem wszystkim w mieście tem klimatyczno-
zdrojowem nie płaci się kurtaxy. I można sobie
żyć przyjemnie według zaleconej recepty. Za-
czyna się rano od kawy z gazetką i t. d. jak zwy-
kle, czemu dusza rada i do czego nawykła. Tyl-
ko ze względów nadzwyczajnych dodaje się do
wszystkiego małą dozę lekkomyślności, dużą do-
zę optymizmu, posypuje rozsądkiem, je się dobrze
i zdrowo, bo kommissaryat targowy czuwa sło-
wem: przepędza się sezon *sans peur*, niebojąc się
ani nudy, ani mikrobow, kładąc się spać po godzi-
nie 9 tej, bo przecież na lichą, bardzo lichą w le-
cie, operę chodźć nie warto....

Tak się tu wesoło pocieszają Wiedeńczycy, nie-
wolni mińskiego bruku, a nazywa się to u nich
Galgenghummer.

Co prawda jednak można przyznać, że w po-
rze letniej najlepiej się to ocenia, iż Wiedeń,
upośledzony pod wielu względami, jednak pod
względem zdrowotnym jest jednym z pierwszych
z miast. Poza tem i w zimie i w lecie brakuje
mu bardzo dużo; jest sobie miastem, ale nie stoli-
cą; jednakże, byle tylko nieco się rozejrzeć i
poszukać, znajdzie się tu zawsze to i owo, co mo-
że zająć, nauczyć—o czem też warto donieść.

Kolonie wakacyjne chłopców i dziewcząt roz-
wijają się tu pomyślnie, lubo są dotąd ciągle tyl-
ko owocem prywatnych starań. W Gorycy urzą-
dzono po raz pierwszy kolonią dla dzieci słabych,
skroficznych, a w Weinzierl otwarto wielki za-
kład poprawy i pracy dla doroslejszych a zanie-
dbanych chłopców. Cesarz dla zakładu darował
zamek i park; władzą zarządzającą jest gmina
wiedeńska przez swoje organa. Sądzę, że kolo-
nie wakacyjne wejdą kiedyś jako organiczny
szczegół w cały system wychowania publicznego,
a dalej, że przyjmie się wszędzie angielski oby-
czaj obowiązkowy, że każdy urzędnik dostaje, bez
prośby, z zasady samej, każdego roku urlop od
2 do 6 tygodni dla zdrowia i wypoczynku. Po-
wstaną też zapewne przedsiębiorstwa, które bo-
dajby i rządy subwencyonowały, budowania i u-
trzymywania w okolicach górskich i lesistych ta-
nich mieszkań letnich, kąpieli i kuchni dla ludzi
biednych, którzy dotąd na willegiatury pozwalać
sobie nie mogą. Jest to także kwestya socyalna,
dotycząca przedewszystkiem wszelkiego rodzaju
urzędników publicznych i prywatnych, — intelli-
gencji, którą przecież zaopiekować się warto.

Wspomniałem raz już kiedyś o wyższej facho-
wej szkole pani Bach w Wiedniu. Zwiedziłem
tego roku wystawę robót uczennic, a z pomocą
objaśnień uprzejmej i wielce usłużnej dyrektorki,
dowiedziałem się rzeczy bardzo pocieszających.
Rząd długo się wahał: czy szkołę tę założyć, czy
nie będzie ona tylko stratą czasu i zawodem dla
uczennic? Podnoszono obawę, że dzisiaj, wobec
robót fabrycznych i maszynowych, roboty ręcz-
ne nie są zdolne kobiety utrzymać przyzwoicie,
dostatnio. Pani Bach rozproszyła te obawy,
a powodzenie zakładu stwierdza rokrocznie jej
poglądy. Roboty, których zakład ten uczy—
wszelkie rodzaje haftów, na wszelkich materjach
a do najrozmaitszego użytku — noszą na sobie
obok zręczności piętno artysty.

Jest to przemysł artystyczny — i to jest okoli-
cznością rozstrzygającą. Piętna sztuki, gustu,
indywidualności—tego maszyna nie nada, to mo-
że być zawsze tylko dziełem myślącego i czują-
cego człowieka. Takie też tylko uczennice kończą
kurs pięcioletni, które obok pilności mają talent.
Wyroby ich znajdują wielki obyt, cena stwier-

dza oba warunki: zręczność i artyzm. Szkoła
trzyma się ściśle *stylów*—są w tej mierze i wykla-
dy teorii—nie poddaje się kaprysom mody, stosu-
je tylko użyteczność wyrobów do dzisiejszych po-
treb, i przeciwnie sama mody wprowadza, usla-
chetniając gust, przyzwyczajając do poszukiwa-
nia wyrobów estetycznie doskonałych, owianych
nieraz ciepłem poezji, odznaczających się po-
mysłowością oryginalną—w czem też i sama pani
Bach celuje. Ta szkoła robót ręcznych kształci
więc i umysł; uczennice muszą cały sposób robo-
ty i jej pojęcie opisywać i rysować; powstają ztąd
istne skarby motywów, setki tek o wartości arty-
stycznej i pedagogicznej. Muszą one przytem być
pisane poprawnie i kaligraficznie. Więc uczy się
tu wiele dziewcząt zamożnych, ażeby się kształ-
cić w ogóle, posiadać sztukę, możność przyjemnego
zawsze zapełnienia chwil wolnych, albo przysłu-
żenia się komu, ozdobienia mieszkania, ofiary dla
kościola. Uczennice potrzebujące zarabiać mają
przyszłość zapewnioną. Popyt na roboty arty-
styczne będzie zawsze żywy, jeżeli roboty te
będą z jednej strony przystępne, a z drugiej
piękniejsze od fabrycznych — a wtedy o wyso-
kość ceny nie idzie. Uczennice są poszukiwane
na nauczycielki do szkół po całej Europie; kilka
zaangażowano już i do Ameryki, wiele daje le-
kcyę tych robót nawet, zakłady fabryczne, np. ko-
ścielnych aparatów, dobijają się o nie—słowem: za-
pewnia pani Bach, że materyalne powodzenie
szkoły i uczennic przechodzi wszelkie nadzieje.
Je na tem polu domowej pracy kobiety konkur-
rencyja fabryczna nigdy jej nie zagłuszy; przeci-
wnie, sama jej rozwoju pragnie, bo od niej się za-
sila, bo te mistrzynie dopiero mogą uszlachetnić
pomysłami, stylowością i nowością sposobów wyra-
biania—wyroby fabryczne. Przyznaję, że dla mnie
przekonanie się o tem, dotknięcie się własnymi
rękami, było jakby objawieniem. Więc *sztuka* po-
łączona z pracą, pozostanie zawsze arystokratką,
nie pozwoli się przez wyrób hurtowny zniwelować,
nie pozwoli na poniewierkę swoich pracownic, za-
pewni im chleb, ale zarazem i wygody i pozycyę
niezależną. Wielu korzystnych propozycyę ucze-
nnice od różnych warsztatów i fabryk często nie
przyjmują. Posag, jaki im szkoła daje, czyni
je śmiałymi, ufnymi; o własnych siłach nie lękają
się życia. Ale—bo też te prace są śliczne, wspa-
niałe i wdzięczne, poważne i kapryśne; odgadują
sekreta Maurów i średniowiecznych artystów i
nowe tworzą. Opisywać ich bliżej nie będę—te-
go już nie potrafię—natomiast pozwalam sobie za-
chęcić czytelniczki do osobistego zapoznania się
z tym zakładem—jeżeli sposobność się nadarzy;
gdyby zaś szło o założenie unas czegoś podobne-
go, choćby tylko w pewnych gałęziach tej wielo-
stronnej pracy nazywanej haftem — to radzę
wprost udać się do pani Bach, powołać się na
Bluszczy, a pewny jestem, że najchętniej swej po-
mocy, informacyi, wzorów udzieli i nauczycielkę
wskaże.

Nie brakło i wystaw w tym czasie, mniej roz-
głoszonych, lubo niemniej zajmujących od innych.
Dzisiaj, kiedy rękodzieła upadają wobec nacisku
z dwóch stron, gdyż ubezwilnia je zalew wyrobów
fabrycznych, a narastające wymagania robotni-
ków zwiększają trudność konkurencyi, bardzo
są na czasie wszelkie usiłowania dźwignięcia ręk-
kodzieł, które wszędzie dostarczają jedynego słoju
społecznego. Wystawa motorów dla przemysłu
drobnego ma za cel zgromadzić i okazać wszel-
kie ułatwienia, z pomocą których rękodzielnik
może się utrzymać na samodzielnym stanowisku
majstra, pomagając sobie w pracy sposobami fa-
brycznymi, które się dla niego stały przystępne-
mi. Maszynkę parową siły ćwierć konia, która
może poruszać tokarnię, piłę, miech i t. p. można
dziś nabyć łatwo, na spłatę ratami, tak jak ma-
szynę do szycia, i ustawić ją nawet w najmniejszej
izdebce. Są też maszyny do szycia poruszane
maszynką parową, którą zasila, nie kocioł, ale
lampa naftowa, a równocześnie oświetla i ogrze-
wa izbę. Niema rękodzieła, któreby z pomocą
mechanicznych ułatwień nie mogło wyemancypo-
wać się. Maszyny do robienia obuwia, do szy-
cia go na wszelką miarę i we wszelkim kształcie,
są doskonałe. Niektóre bodaj przyrządy może sobie
i najuboższy wiejski szewc sprawić—byle je znał.

Trzeba mu je zatem pokazać, opisać, podać adres.
Wystawy takie mają więc wielkie ekonomiczne
znaczenie; lubo specjalne, posiadają jednak i dla
oka, dla ogółu publiczności, niemało uroku. Tutaj
przędą szkło i robią z niego śliczny jedwab,
kwiaty, jak puch delikatne, wszelkiej barwy; tam,
przyrządami nader prostemi, ręcznemi, wyrabiają
makarony i temiżsamymi wyciskają soki; dziew-
częta z fabryk rządowych robią cygara i papiero-
sy; dolatują melodey wygrywane na okarynach,
które zdun wytacza; asbestowe obrusy wywołują
zdumienie; chemik wszelkie, najordynarniejsze,
pióra przetwarza na białe, eleganckie; maszynny
parowe poruszają różne przyrządy cukiernicze,
a idą tak cicho, ciszej niż zegarek; wszelkie przy-
rządy ochronne na powszechną zasługują uwagę
i t. d.; przytem muzyka przygrywa; w małym
ogrodzie przyległym, można wypocząć i posilić
się; więc jest to wystawa poważna, pożyteczna i
przyjemna. Dla Wiedeńczyków jest ona *fad*, ja-
łowa, nudna, zamało w niej hecy; tysiące jednak
interessowanych pilnie ją zwiedzają.

Wystawy artystyczne odbyły się dwie, obie
specyalne. Druga serya wystawy alpejskiej
w Kunstvereinie jest nadzwyczaj zajmującą. Ob-
fituje w arcydzieła dawniejsze i nowsze, widoki
gór, burz, wsi, sceny z życia, zbiory typów: skarbn-
ica dla malarzy dostarczana przez *fotografów*, mo-
dele schronisk na szczytach, zbiór kostiumów ludo-
wych, rozmaitych przyrządów dla turystów, wre-
szcie widoki panoramiczne, między niemi grota
w Untersberg, w której, stosownie do legendy,
siedzi Karol Wielki w śnie pogrążony. Prześli-
czne są gleczery i rozpadliny śniegowe, błyszczą-
ce, przejrzyste. Cała wystawa świadczy o miło-
ści gór, przedstawia piękności Alp austriackich,
dla zwiedzania których istnieje tu kilka towa-
rzystw i klubów turystów. A przecież o te Alpy
nikt nie dba, mieszkając tam nie można, bo niema
gdzie—lecz o tem już pisałem.

Niemniej zajmującą była wystawa 200 akwa-
relli, pierwszej dopiero seryi ze zbiorów arcyksię-
cia Ludwika. Jest to niejako historia malar-
stwa akwarelowego w Austrii, w tym wieku.
Treścią obrazów są sceny z życia całej panującej
rodziny, oraz widoki zamków, willi i tak zwanego
Salzkammergut. Dla Wiedeńczyków treść obra-
rów była nader przyjemną; dla malarzy odsłoniły
się typy i portrety i rozmaite sposoby malowania.
Druga serya nastąpi w jesieni. Niemalowanym
więc protektorem Künstlerhausu jest arcyksiążę
Karol Ludwik.

Pojawiło się — rzadki wypadek w Wiedniu —
kilka bardzo zajmujących książek: więc kto tutaj
lato przepędza, a niema księgowstrętu, ma się
czem zająć. Więc i ja czytam, a co się dowiem,
następnie opowiem.

ZA OCEANEM

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY do Brazylii.

przez

HELENE NEGRONI.

IV. Boże Narodzenie. — Wycieczka w głąb kraju. Wyjazd z Bahii.

(Dalszy ciąg).

Trzeciego dnia po wyjeździe z Bahii podróżni-
cy zajechali do miasteczka Sant' Anna; tu napot-
kali jarmark doroczny, ciekawy do widzenia dla
cudzoziemców. Za Sant' Anną przebywali już
tylko niezamieszkałe zupełnie obszary, kierując
się na północo-zachód aż do wodospadu. O trzy
dni drogi od celu podróży spotkali inne towarzy-

stwo brazylijskie, również do wodospadów zmierzające. Prócz dwóch panów była i żona jednego z nich, przez Murzynów w lektyce niesiona. Ludzie ci nie mieli ze sobą żadnych innych zapasów żywności, prócz trochę świeżych jarzyn, które w wodzie gotowali i jedli z solą. Nie chcieli już więcej tej spartańskiej diety: przyjęli ofiarowane sobie prowianty i z chęcią z nich czerpali.

Z powrotem podróżni nasi puscili się już inną drogą, idąc ciągle na północo-wschód, przez prowincję Pernambuko do miasta tegoż nazwiska, z kądem morzem do Bahii przybyli. W drodze do Pernambuko zwiedzali więzienia przestępców kryminalnych. Wiele ciekawych wyrobów więziennych z sobą przywieźli. Były tu: koszyki, koronki, hamaki ślicznie wykończone i zręcznie haftowane, derki na skórce haftowane i ogromne skóry krokodyla, przez więźni wyprawiane, które obecnie bywają bardzo poszukiwane do rozmaitych wyrobów galanterijnych. Pieniądże zebrane ze sprzedaży tych przedmiotów kapitalizują się i więźniowie dostają je dopiero w dniu wyjścia swego na wolność.

Prowincja Pernambuko nie jest ludniejszą od prowincji Bahii. Mieszkańcom jej trzeba oddać tę sprawiedliwość, że są niesłychanie gościnni; dom ich otwarty dla każdego podróżnego, jemu pierwsze miejsce ustępują, dzielą się ostatnim kawałkiem chleba, nieraz własną pościel oddając. Przybycie podróżnego do domu uważane jest, jak u narodów słowiańskich, za szczęście wstępujące w progi rodzinne.

V. Wyjazd z Bahii.—Rio de Janeiro.—Kwarantanna.

Przeniesienie mego szwagra z Bahii do Buenos Ayres, dało mi sposobność do poznania Stanów La Plata.

Dnia 4 Marca 18... wypłynęliśmy z Bahii, a d. 6, o godz. 5-ej zrana, okręt nasz wyjeżdżał już do portu Rio de Janeiro. Z wielką niecierpliwością oczekiwałam wspaniałego widoku przystani, słyszącej za najpiękniejszą na całym świecie, ale przyznać muszę, że nie doznałam wielkiego wrażenia. Oddaję po części sprawiedliwość czytelnym opisom, zachwytu jednak ich nie podzielam. Port ten jest rzeczywiście dla swych olbrzymich rozmiarów pierwszym na świecie, a ręka ludzka ani pracy, ani zasobów nie żałowała, ażeby go uczynić przystępnym i dogodnym dla największych okrętów; ale oceniać i podziwiać może to tylko specjalista, kapitan okrętu lub admirał floty, którego wprawnemu oku nie ujdzie najmniejszy szczegół w wykończeniu podobnej Herkulesowej pracy; dla prostego śmiertelnika, sądzącego o pięknie tylko z wrażenia doznanego, staje się ono mniej wybitnem. Sam obszar czyni piękno to niewyraźnem; wzrok objąć nie może całości widoków na tak ogromnej przestrzeni rozrzuconych, a każdy szczegół przesuwały się osobno, w miarę jak okręt płynie, nie sprawia silniejszego wrażenia. Wiele innych mniej słynnych portów daleko wspanialej się przedstawia. Osobliwością Ria jest skała tak zwana „Pan d'Azucar“ (głowa cukru), mająca zupełnie kształt koni; sterczy ona wśród portu na ważkim cyplu ziemi, który się od lądu stałego oddziela i da leko w przystani zachodzi.

Zbyt krótki pobyt w Rio dozwolił nam tylko bardzo niedokładne powziąć o niem wyobrażenie. Zarys zupełnie wielkiego miasta, ale piętno wcale nie europejskie. Szerokie, pięknie zabudowane ulice, domy najrozmaitszej architektury, najczęściej otoczone ogrodami w kształcie willi włoskich, sklepy z pięknymi wystawami. Po ulicach wszędzie pełno Murzynów, Indyan i Chińczyków; tramwaje, których sieć jest gęsta, nimi przepełnione; ale ruch w mieście rozpoczyna się dopiero o czwartej południu, w dzień wszystko jest jakby pogrążone w letargu. Cisza grobowa, panująca wśród białego dnia, i światło jaskrawe oblekające gród niezwykłym, jakby tęczowym kolorytem, nadaje mu odrębną, dziwną malowniczość.

Rio de Janeiro prócz samego środka miasta, steku handlu i interesów, ma kilka przedmieść zasługujących na uwagę; ciągną się one na wzgórzach, wśród odnóg morza, zachodzących, jakby jeziora, w głąb stałego lądu. Przedmieścia te, dla świeżego powietrza, głównie zamieszkane są przez cudzoziemców. Jedno z nich zwane Pojuca (Pohuka) w którym znajduje się ogród botaniczny, jest szczególnej piękności. Ogród ciągnie się zponad brzegu odnogi oceanu, długimi alejami wspaniałych odwiecznych i niebotycznych drzew palmowych aż na wysokie wzgórze otaczające go, wśród których zieloności gra promieni mieniącego się światła rzuca dziwny urok. Zdawało nam się, że jesteśmy wśród czarowanego jakiegoś krajobrazu z „Tysiąca i jednej nocy“; mimowoli mówiliśmy do siebie pół głosem nie chcąc przerywać tego czaru.

Najpiękniejszą częścią miasta, którą Brazylijczycy słusznie się szyczą, uważając ją za jeden z cudów świata, jest przedmieście tak zwane Petropolis. Położone na wysokich wzgórzach, wśród wiecznej zieloności, lasów i jezior, ma klimat zupełnie umiarkowany, panuje wieczna w niem wiosna, jest to prawdziwe Eldorado. Cesarz Don Pedro II obrał je sobie na całoroczną rezydencję; w koło niego, naturalnie, grupuje się cały dwór, arystokracja i dyplomacja. Droga prowadząca do Petropolis jest już sama z siebie cudotworem natury; bieży po spadzistym boku góry wśród lasów kaktusowych, drzew palmowych, szumiących modrych strumieni, wodospadów i jezior, otoczonych całem majestatem podzwrotnikowej flory, lian i storczyków, łączących się w najcudowniejsze wieńce, przeskakujące wysoko z drzewa na drzewo, z jednej strony drogi na drugą.

Petropolis prócz rzadkiej piękności położenia ma też i klimat wyjątkowo orzeźwiający i zdrowy; powiadają, że jeszcze nigdy wśród największych epidemii żółta febra się tu nie pojawiła. Jest też to przedmieście słusznie dumą mieszkańców stolicy, celem ulubionych przechadzek i wycieczek.

Po powrocie na statek spotkał nas wielki zawód: oznajmiono nam, że kwarantannę, którą w lecie muszą przebywać wszyscy podróżni, jeżeli zatrzymywali się w Rio de Janeiro, mamy, nie tak, jak się tego spodziewaliśmy, odbyć w porcie Montevideo, na tym samym statku, który nas wiozł, ale we właściwym na to lazarecie, na wysepce zwanej „Isola de Flores“. Siedm dni płynęliśmy z Rio do Montevideo: pozostawiało nam zatem trzynaście dni kwarantanny. Strach nas przejmował na samą jej myśl, a obawa nasza okazała się wcale niepłonną. Szukaliśmy pociechy w nazwie wyspy „Isola de Flores“ po hiszpańsku „Wyspa kwiatów“, sądząc, że będziemy w prawdziwej cieplarni, wśród tych właśnie kwiatów europejskich, za któremi tęsknimy, bo zbliżaliśmy się już do stref umiarkowanych drugiej połowy kuli ziemskiej, do 30-go stopnia szerokości południowej, która mniej więcej odpowiada u nas temperaturze i klimatowi włoskiemu.

Niestety, i w tem nadzieje nasze najzupełniej doznały zawodu. Isola de Flores dla ironii losu nosi swoje nazwę; jest to, poprostu, naga skała stercząca wśród oceanu, na której znajduje się latarnia morska i lazaret. W koło nas nic prócz lazuru nieba i ogromu huczących bałwanów. Odlam skały, punkcik ginący wśród Oceanu, chronił nas tylko od jego otchłani: wszędzie samotność i cisza zupełna. Oderwani od świata zewnętrznego, od walki życia codziennego, z myślą wolną i skupioną wobec wielkości tego otoczenia, doznaliśmy niezwykłego wrażenia i uczucia nasze silniej niż kiedykolwiek wzbijały się do Boga.

Póki czas był piękny, przyjemnie spędzaliśmy wieczory i poranki w małej przystani, wzrokiem mierząc ton przezroczystą i śledząc bijące bałwany. Ogół towarzystwa zabijał czas, wyrzekając na niefortunne losy, zmuszające ich do odbywania kwarantanny. Wielu przerywało żale łowieniem ryb, których moc była tak wielka, że półow szedł

bez najmniejszego wysilenia — dla dzieci była to radość niesłychana. Ryby ułowione rzucono napowrót do wody, nie wiedząc co z niemi robić. Wkrótce po naszym wylądowaniu zjawił się drugi, a potem trzeci okręt passażerski; każda grupa świeżo przybywających podróżnych odbywała osobno kwarantannę. Lazaret dzieli się na trzy oddziały, do każdego z nich kolejno zamykano nowoprzybyłych, zabraniając im wszelkiej komunikacji z innymi oddziałami; toby przepis ten naruszył i przeszedł chociażby na chwilkę z jednego oddziału do drugiego, — musiałby po skończeniu swojej kwarantanny rozpocząć nową. Port na przemian zajmowany przez każdy z oddziałów, bywał nam już tylko co trzeci dzień dostępnym i zmuszeni byliśmy po całych dniach przesiadywać w ciasnych izdebkach, nie mając ani książek ani bagaży, bo te gwałtem nam zabrano do dezinfekcji. Dnie zaczęły wlec się, jak z kamienia, wśród upału, niewygody i niezbyt miłego sąsiedztwa. Uprzejmy konsul francuzki w Montevideo przysłał nam skrzynię z żywnością, z owocami i kwiatami, a wśród tego znalazły się i książki, które byłyby nam dostarczyły rozrywki, ale niestety, było powiedziane, że jeszcze nie tu miał być koniec naszego czyszcza. Czas nagle się zmienił; burze silne, nieczem niepohamowane, tak się rozszrozyły, jak tylko wśród Oceanu srożyć się umiej. Wiatr miotał z szaloną gwałtownością; ani drzwi, ani okien nie było podobieństwem utrzymać zamkniętych: mimo przedsięwziętych środków ciągle z hukiem najokropniejszym się roztwierały, odrывая przybite koldry, a deszcz strumieniami lał się do pokoi. W dzień wszyscy siedzieli na stołach, owinięci w szale, nogi trzymając na krzesłach, bo po podłodze płynęły strugi wody; ale w nocy nie było sposobu zabezpieczyć się od zimna i wiatru przejmującego; dzieci też najmłodsze niebezpiecznie się rozchorowały na krup i niemało trwogi nas nabawiły. Przeszliśmy kilka dni okropnego niepokoju, nie mając już żadnej nadziei. Zdawało się niepodobnem uratowanie życia w podobnych warunkach, a natura coraz się bardziej roznamietniała, jakby urągając naszemu żalowi i łzom zrozpaczonej matki.

Wybawił nas jeden z podróżnych, poczciwy doktor Pinelli, Brazylijczyk, który usługi nam swoje ofiarował z całą serdecznością. Z początku nie mieliśmy zaufania do lekarza brazylijskiego; wkrótce jednak przekonaaliśmy się, że nasze obawy były mylne, bo nie tylko wszelką troskliwość otoczył on biednych chorych, ale obznajomiony z tamtejszym klimatem, z samym lazaretem i jego niewygodami, miał ze sobą wszelkie możliwe przybory do ratowania chorych na tem pustkowiu. Tak więc opieka jego okazała się prawdziwą opatrnością. Jemu też tylko zawdzięcza siostra moja życie dwojga swych dzieci.

(Da'szy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż w 31 Lipca 1884 r.

Epidemia i jej stan dzisiejszy w Południowej Francji — Kobiety wobec tej plagi — Wspomnienie z przeszłości — Cesarzowa Eugenia w Amiens. Manewra opozycyjne. Śmierć wnuczki Adama Mickiewicza — Vrehlicki i urodziny jego córki — Ostatnie wiadomości o Rogozińskim z Afryki na posiedzenie Towarzystwa Geograficznego w Paryżu — Cztery tomy niewydanych korespondencji Józefa de Maistre'a — Ciekawe wyciągi z I tomu — Prawo wyborcze w Anglii — Demokracja i lordowie — Olbrzymi Meeting w Londynie.

(Dokończenie).

Zanim się ukaże całość tych niewydanych dotąd listów znakomitego polemisty — i pozwoli wy-

dać sąd ogólny — najlepiej odpowiem, i żądaniu wydawców, i ciekawości czytelników moich, dając tu kilka krótkich i poukazywanych wyciągów z tego pierwszego tomu, który się rozpoczyna z roku 1786. W tym roku de Maistre miał lat 32; był to rok jego ożenienia się. Zdaje się, że nie myślał on wcale wówczas o tych wypadkach, które miały rozwalić i zniszczyć cały gmach jego domowego szczęścia, wyrzucić go z ojczyzny, i popchnąć na pole zapasów, gdzie znalazł sławę pisarza, nie znalazłszy szczęścia, i choćby tylko pokoju, człowieka. Pierwszy zaraz list daje jakby żywy obraz towarzystwa w Chambéry z owego czasu. Dowcipne i uszczypliwe usposobienie, które stanie się z czasem biczem Juvenalisa, tu się odznacza jedynie blaskiem i biegłością pióra.

Bawiono się wówczas i biesiadowano w Sabaudyi. Chambéry było małą stolicą. Teatr, zabawy, festyny — następowały po sobie bez przerwy. Otoż de Maistre tak opisuje te ucieszy swoich współrodaków. Gościła tam właśnie słynna aktorka swojego czasu, panna Saint-Val — brzydka, ale pełna talentu; de Maistre, tak się o niej odzywa:

„Ponieważ nie jest piękną. (czyż to nasza wina?) chowa się więc ciągle po za swemi gestami. Wieczna chusteczka jak parawan rozwija się przed twarzą, naigrawa się ze wszystkich lornetek, i nigdyśmy nie dostrzegli rąk tej artystki, ponad jej głową. Wysłowienie jej też nie jest wolne od krytyki; częstą bardzo jest nienaturalną i napuszoną w grze swojej, a jej niższe dźwięki głosowe, — nie warte. Bardzo nieprzyjemnie daje nam uczuwać, wymawianie zbyt przesadzone końcowych zgłosek, tak naprzykład w wyrazach: *hélas, murs, fers, plus, fils* i t. d. końcowe s syczy jak węże podczas kanikuły“...

„...Co do zabaw i festynów, mówiono już wam zapewne o tym, który wyprawiliśmy onegdaj u Margrabiego d'Yenne, składkowym sposobem. Dwudziestu mecenasów, w których liczbie i ja byłem, wasz sługa. Ochrzczono to mianem: „Dziónek angielski“ (Journée Anglaise). Zebrano się w południe, aby się rozejść dopiero nazajutrz o czwartej zrana. Pod słowem honoru, nie pojmuję co się tu dzieje. Zdaje mi się, że w miarę, jak się ruinujemy do szczeru, stajemy się coraz większymi panami. Jest to, zaiste, ciekawy fenomen, a przecież trzeba temu uwierzyć. Naprzód podawano herbatę, kawę, czekoladę, masło, i t. d., poczem zaczęły się rozmaite gry i koncert. O godzinie piątej obiad — 65 osób zasiadło do stołu, a 30 wokoło, przy małych stoliczkach. Na stole roztaczał się cały pierwszy rozdział Genezy. Wszystko, co się czołga; wszystko, co pływa; wszystko, co lata; wszystko, co śpiewa; wszystko, co ryczy; wszystko, co beczy — wszystko się tam znalazło. Aby was ubawić, posyłam wam wykaz imienny. Sto osób obsłużonych na srebrnych półmiskach (nawet i talerzach). — A deser w połączonych naczyniach, z takimiż nożami, widelcami i łyżkami... (sumiennie powiadam). Po obiedzie bal — wszelkiego rodzaju łakocie, i cukierki, i lody.

„Miałbym wam jeszcze sporo rzeczy powiedzieć o tym *dzióniku angielskim*, który nas kosztował sto ludwików, mówiąc nawiasem; ale mi nie starczy ani czasu, ani papieru — Bogu cię oddaję, dobry przyjacielu — twój całkiem. Ucałuj odemnie całe gniazdko, a jak się też miewa kureczka?... Proszę, aby raczyła przyjąć wyrazy mego szacunku. Bracia moi zasylają wam tysiące czułych ukłonów“...

W listach De Maistre'a, rzecz dziwna, na każdej kartce tryska wesołość; autor ich rad się śmieje, wesoło i grubo — żarty strzelają, jak fajerwerk jaki. Oto przykład. Siostra jego Teresa, wyszła była za mąż za niejakiego p. de Constantina de la Batie — De Maistre pisze do niej wesoło i żartobliwy liścik, na początku r. 1792.

„Nie — nie pozbawię się przyjemności pisania do pani Constantinowej. I cóż! słodka moja Teresino, otoż jesteś u siebie (apisze to, dając akcent sabaudzki wyrazowi *chez*: „*cheu*“ *toi*). O! wielkie to słowo, a które tak miło jest wymawiać! Ztąd się napawam słodyczą twojego tryumfalnego wjazdu do La Roche (posiadłość pp. Constanti-

nów). Co za czas śliczny! co za słońce, — jakby umyślnie dla ciebie. A na dowód, że się Opatrzność do tego wnieśliła, to, że zaraz po twojem tam przyjeździe zima wróciła nam w najlepsze, i wojuje z nami na zabój. A ja ciebie ściskam i całuję z całego serca, — z przywiązaniem braterskiem, ojcowskiem, wiecznym!“

A dalej tak się odzywa do szwagra:

„Do ciebie, panie Constantinie... Wszystko jest wspólne w małżeństwie, drogi przyjacielu, aż do papieru; to też piszę ci niniejszy list, natej samej kartce, aby cię zapewnić, że na kobiety, jak na zegarki, daje się sześć miesięcy próby. A więc, mój najdroższy, jeżeli nie kontent z twojej (żony); jeżeli nie idzie regularnie, jeśli ma przystępy; jeżeli cię repetycja nudzi — możesz mi ją odesłać. Jeżeli zaś, przeciwnie, kontent jesteś o południu i o północy, nie zaniedbuj mi o tem również powiedzieć, abym mógł ci wyrazić moje zadowolenie, za to, żeś wybrał sobie dobrą sztukę w mym składzie“.

Po weselu i radości nadeszły dni ciężkie. De Maistre emigruje do Szwajcaryi; w r. 1793, znajdujemy go w Lozannie. Listy z tamtąd mają już wcale inny charakter. Zarysowuje się w nich ta postać, jakby wieszcz, zapowiadającego wypadek i zniszczenie. Po Austrii i Prusach Anglii i Hiszpanie wychodzą na plac boju... de Maistre stara się odchylić zosłone przyszłości.

„Co wyjdzie z tego wszystkiego? — pyta — nie wiem. Głupstwo i przewrotność ludzka są to dwa potężne *ślepce* (aveugles), które mi Jejmość pani Opatrzność posługuje się, aby dojść do celu. Jak artysta posługuje się narzędziem do wykonania dzieł swoich. Czyż pilnik wie o tem, że robi klucz? Wszystkie te osobistości ohydne, lub śmieszne, które się poruszają w tej chwili na scenie świata, — są to *pilniki*. Kiedy dzieło będzie skończone, padniemy na kolana, aby je przyjąć z rąk wielkiego twórcy. Aż do owej chwili nadrabiam miną, ale wyznaję, że niczego przewidywać nie zdołam — chyba, że prorok *Nahum* mówił o Paryżu, pod imieniem *Ninwy*! Czytajcie to proroctwo: a zobaczycie, że przyszli kaznodzieje z łatwością będą tryumfować, jeżeli rzeczy obrócą się w stronę, którą my nazywamy *dobrą*“.

Wśród tej powodzi nędzoty i śmiecia pisarskiego, w której toniemy, bez ratunku, te cztery tomy, korespondencyi de Maistre'a będą istotnym wypadkiem literackim, dadzą nam rzeczywiście pokarm duchowy. Każdy z tych czterech tomów jest to prawdziwy olbrzym wśród karłów.

Kiedy de Maistre przepowiada klęski i mówi o proroctwie *Nahuma*, godzi się zajrzeć do tekstu; znajdziemy tam nie jedno, co i w dzisiejszej chwili przypomni nam, że duch widzi daleko i jasno. Kiedy *Nahum* pyta się *Ninwy*: czy jest potężniejszą od *Alexandrii*, usiadłej wśród rzek i zewsząd oblanej wodą, dla której morze jest skarbem, a jego wody obronnym szańcem? — mimowolnie myśl nasza zwraca się ku Anglii, i nie bez pewnej grozy patrzymy na te wzburzone fale demokracji, które zaczynają podmywać mury ostatniej twierdzy na świecie, gdzie się schroniły: stare prawo i tradycya!...

Olbrzymi meeting, który miał miejsce w Londynie w *Hyde-Parku* d. 21 Lipca, jest jednym z wybitnych znaków naszego czasu. U nas, a nawet w całej Europie kontynentalnej, z trudnością przychodzi wyrozumieć: czem to być może taki meeting angielski, złożony z jakich 50,000 ludzi, przeciągających przez miasto w doskonałym porządku, bez krzyku, bez gwałtu fizycznego, a użytych za narzędzia do spełnienia gwałtu politycznego na Izbie Lordów. Manifestacja lipcowa na poparcie billu Reformy wyborczej, przeciwko uchwale tej Izby była niezmiernie ciekawą. Wypisuję te szczegóły z listu naocznego świadka.

„Od południa, na wybrzeżu Tamizy, około Westminsterkiego Pałacu, na miejscu wyznaczonym, zjadł ma się rozpocząć pochód całego orszaku; zbierają się i schodzą rozmaite cechy wyrobników, podzielone na ośm sekcji. Każdy z tych ośmiu oddziałów poprzedzony jest muzyką i sztandarami, z których wiele jest opatrzonych ciekawymi napisami, jak np: *Kto będzie*

rządzić? Parowie czy naród? — Dosyć się naigrawać z nas; żądamy głosu jako naszego prawa. — Czy Lordowie wydadzą wojnę wyrobnikom? — Niektóre z nich ozdobione są portretem Gladstone'a, olbrzymiej wielkości, trzymającego w ręku malutkiego, ukoronowanego para. — Niesiono również pewien rodzaj grobowca, na którym był wryty napis: „Pamięci Izby Lordów. A. D. 1884.“ Organizatorowie meetingu konno, z czerwoną szarfą przez plecy, wskazują miejsce i rząd, które każdy oddział ma zająć w orszaku, który ostatecznie formuje się o godzinie 3-iej.

Dla uniknięcia wypadków i nieporządku od 3-iej do 5-iej godziny ruch powozów był wstrzymany pomiędzy Westminsterem i Hyde-Parkiem, to jest na przestrzeni czterech kilometrów; a policmeni konni i piesi strzegli, aby tłumy ciekawych, zebrane przy drodze orszaku, nie przecinały jego rzędów, posuwających się poważnie i z wolna. Manifestujący szli po sześciu ludzi z frontu, w następującym porządku:

Kowale — konno, silni i tężdzy, chłop w chłopa.

Marszałek meetingu i mówcy.

Powóz prassy, gdzie się znajdowali reporterowie wszelkich opinii.

Rolnicy, deputacye z prowincyi i komitet związków handlowych (Trade-Unions).

Rada handlowa londyńska.

Komitet manifestacji.

Następnie szły oddziały, w których występowały wszelkie korporacje, kluby polityczne i stowarzyszenia liberalne. W chwili, kiedy kowale wjeżdżają do Hyde-Parku, ostatnie oddziały nie ruszyły jeszcze z miejsca w Westminsterze. Manifestujących poprzedzają kommissarze *ad hoc*, i tak w parku, jak na każdym miejscu, prowadzą korporacje do platformy, około której każda z nich powinna się zbierać.

Wistocie, niepodobną było rzeczą, aby mówca mógł być słyszany w tak ogromnym tłumie; podzielono więc ogólny meeting na siedm mniejszych — i po *Serpentynej*, (rzeczka płynąca w parku) wpośród rozległej łąki, wzniesiono siedm rusztowań, z kąd wygłoszone zostały mowy i zredagowane postanowienia. Jeden z posłów parlamentu przewodniczył każdemu meetingowi i o godzinie 5, chociaż wszyscy jeszcze nie przybyli na miejsce — każdy z 7-u marszałków po krótkiej przemowie czyta propozycje, które mówcy popierać będą. — Dajemy tu wierne ich streszczenie:

„Zgromadzenie siedmiu meetingów, złożonych z przedstawicieli wszystkich klas ludu, niemających prawa głosowania wyborczego; związki handlowe, stowarzyszenia liberalne i rozmaite ciała polityczne i niepolityczne, — protestują silnie przeciw odrzuceniu prawa o reprezentacji narodowej — odrzuceniu przez Izbę Lordów nieodpowiedzialną, niemającą kwalifikacji do przedstawiania narodu, i to, pomimo przyjęcia tego prawa, niemal jednogłośnie, przez całą ludność i przez posłów prawnie wybranych.

„Toż zgromadzenie potwierdza postępowanie p. Gladstone'a, który radził większości zwolanie parlamentu na nadzwyczajną sessyą w jesieni i winszuje mu zamiar, odesłania powtórnie projektu prawa do Izby Lordów.

„Zgromadzenie wyraża przytem, że istnienie tej władzy w ręku Izby Lordów, odrzucającej ciągle i systematycznie życzenia narodu, nie jest wcale zdolnym przyczynić się do zapewnienia dobrobytu ludowi a pomyślności krajowi; meeting decyduje wkońcu, że odpis tych postanowień będzie złożony w ręce pierwszego ministra.“

Na ten-to temat mówcy rozprawiali szeroko, i niema potrzeby dodawać, że wszystkie te mowy przyjęto z oklaskiem i że postanowienia przeszły jednogłośnie. Było postanowionem, że meeting skończy się o godzinie 6, i na kilka minut przedtem ozwały się trąby, dając znać mówcom, aby spieszyli z samknięciem.

Meeting olbrzymi — nie powiem że bez hałasu, ale z pewnością bez żadnego nieporządku — zamknięty został o 6 godzinie. Izba lordów nie będzie się ściśle rachować z tą demonstracją, wie-

dząc, kto te spreżyny poruszył; w jesieni zapewne odrzuci bill powtórnie. Gladstone nie ma wielkiego zamiłowania i sympatyj do Izby Parów i może nie będzie daleki od skorzystania z pierwszej sposobności, do zreformowania tej instytucji odwiecznej, której przywileje zdają się aż nadto zbyt wielkimi. Wiemy, że Gladstone jest to drwal silny; pod jego toporem walą się jak słoma ogromne drzewa w Parku Hawardenskim. a jeśli przyjdzie dzień, że się on weźmie do tej starej angielskiej legendy, nie potrzeba mu będzie wiele czasu, aby ją podciąć u spodu. Większość w Izbie niższej jest po jego stronie; ma teraz za sobą klasy wyrobnicze stolicy i miast większych. I pomyśleć, że ten tryumf przygotowała mu właśnie opozycja! Jest to szczyt niezręczności ze strony jego przeciwników. Ale jest to—jak mówiłem na początku—i znak czasów.

Kronika działalności kobiecej.

— W Lignicy stowarzyszenie kobiece, zajmujące się pocziwie tamtejszymi *Taniemi Kuchniami*, dopełniło swego dobroczynnego dzieła, otwierając *Tanią Kuchnię* dla osób słabowitych, lub przychodzących do zdrowia. Przytem gotuje się tam codziennie mocny posilny rosół, który rozdaje się chorym po domach za odpowiednim świadectwem lekarza.

— Wpółśród dobroczynnej działalności, jaką we Francji w miejscach dotkniętych cholera rozwijała filantropia prywatna,—zaznaczyli się w Marsylii małżonkowie Prat, szczególnież przeciw żona poświęcała się osobiście, z wielkim sercem, pełną miłości bliźniego odwagą wchodząc pomiędzy ubogą ludność najcięższych, najlichszych ulic miasta. Pani ta z własnych funduszy urządziła na jednym z placów miejskich *Tanią Kuchnię*, gdzie przy pomocy Sióstr Miłosierdzia wydawano dziennie 150 obiadów bezpłatnie, rozdając zarazem chleb i wino pomiędzy ubogie kobiety i dzieci. Książę de Chartres w czasie dobroczynnego swego pobytu w Marsylii był z wizytą u szlachetnej tej kobiety, chcąc w ten sposób okazać jej swój szacunek.

— Izbie Deput. Rzeczypospolitej Francuzkiej przedstawiono wniosek zaprowadzenia we Francji dorocznego święta Joanny d'Arc, które byłoby obchodzone w dniu 8 Maja, jako w rocznicę patriotycznego jej czynu oswobodzenia Orleanu spod zaboru Anglików. Wniosek opatrzony jest podpisami 200 członków zgromadzenia.

— Indyanka z prowincji Mahratta, Anandabhai Joshee, która udała się niedawno do Ameryki w celu studyowania medycyny, złożyła wymagany egzamin i została przyjętą do kobiecej szkoły medycznej w Filadelfii. Kobiece wykształcenie medyczne ma w Indyach znaczenie inne jeszcze, niż w Europie; bo zamknięte w zenach swoich Indyanki nie mogą korzystać z pomocy lekarskiej, udzielanej przez mężczyznę. Ztąd wiele Angielek posiadających stopnie doktorów medycyny udaje się do Indyi i rząd tamtejszy otworzył kobietom przystęp na wykłady medycyny w uniwersytetach w Bombay i Madras. Ale obyczaje miejscowe nie pozwalają na takie obcowanie kobiet z mężczyznami, Indyanka zatem nie może w kraju korzystać z danego jej prawa; przeciwko rozbudzający się w Indyach patry-

tyzm popycha kobiety do samodzielnego radzenia sobie i Anandabhai Joshee, bogata pani z kasty Braminów, poświęcała się na ciężkie i trudne studia w chwalebny cel służenia kobiecie, a przez nią rodzinie ojczyzny swojej.

— Dziewięć lat temu szlachetna filantropka angielska, M-rs Nassan Senior, założyła w Londynie *Towarzystwo przyjaciół młodych dziewcząt*, zajmujące się losem młodych służących w tym mieście. Czytelnicy naszego pisma znają kierunek działalności towarzystwa: oddaje ono do służby młode dziewczęta, wychodzące z zakładów dobroczynnych, zatem sieroty lub dzieci opuszczone, oraz zajmuje się losem młodych sług mieśca poszukujących. W dniu 23 Lipca r. b. na dorocznym zebraniu towarzystwa, odczytano sprawozdanie z jego prac zeszłorocznych. Miało ono w opiece swojej 4,000 młodych dziewcząt, z których przeszło 3,000 znalazło pomieszczenie za jego staraniem. Kardynał Manning, popierając stowarzyszenie jako dobrze służące ludzkości, według zasad chrześcijańskiej miłości bliźniego, był przytomny zebraniu.

— Szkoła służących ma zostać wzniesioną w Londynie na zasadach podobnych, jak szkoły niemieckie. Matki rodzin, będące dobrimi gospodyniami, udzielać będą młodym, na usługi kształcącym się dziewczętom, wiadomości potrzebnych w zawodzie pokojówek i kucharek, za opłatą według możliwości uczennicy, która jednak nigdy nie ma być wyższą nad 4 szylingi 6 pensów tygodniowo. Gospoda („A Home“) gromadząca uczennice położoną będzie przy jednej z ludnych ulic Londynu: „Adisson Road“; czas nauki obliczonym został na sześć miesięcy, poczem panie zarządzające gospodą zajmą się pomieszczeniem uczennic swoich. Ponieważ zakład taki potrzebuje, na początek przynajmniej, być poniekąd instytucją filantropijną, otwarta więc została na ten cel w Londynie składki. Dwie panie z tej tak pożytecznej w Anglii falangi kobiecej — falangi pań niemiłych, Miss Butterworth i Miss Hope, stanęły na czele przedsięwzięcia.

— W zeszłym miesiącu umarła we Florencji uczona Angielka Mrs Cadell, wdowa po officerze armii indyjskiej. Indy były przedmiotem jej pierwszych prac literackich, następnie zwróciła się do studyowania literatury perskiej, szczególnież w jej mistycznych poetach. Studium nad jednym z nich, Omarem Khayyam, wydane w roku 1879, a przełożone wkrótce na język niemiecki, przez poetę Bodenstedta, oddającego się także badaniom poezji Wschodu, zapewniło jej wyższe stanowisko w literaturze.

— Niemiecki publicysta E. von Gagern, rozbiegając kwestyą równouprawnienia kobiet, postawił ją na gruncie tej zasady, że z podwyższeniem praw społecznych musi przyjść dla kobiety i podwyższenie obowiązków społecznych. Pobór mężczyzn do wojska, powinien zatem znaleźć odpowiednią służbę kobiety dla kraju i należy zaprowadzić pewien rodzaj landwery kobiecej, w którejby młode kobiety wszelkich stanów i położenia towarzyskich obsługiwały czas pewien jako pilnowaczki chorych, kształcąc się, tak teoretycznie, jak praktycznie w sztuce opatrywania chorych i rannych. W czasie wojny tworzonoby natchniami pulki takich pomocniczek lekarskich, któreby w lazaretach i ambulansach tak służyły ojczyźnie, jak mężczyźni służy jej na polu bitew. Kobiety niemieckie odpowiedziały na to, że nie cofają się przed służbą dla ojczyzny, ale od wieków już pełni ją kobieta, jako matka, dając krajowi dzieci i wychowując je moralnie. Trudy i niebezpieczeństwa macierzyństwa, nocy bezsenne przy kolebce synów: oto landwera kobieca

ze swą fizyczną nawet stroną poświęcenia. tam szczególnież, gdzie kobieta własną pierś obronić kraju wykarmia, i to tylko powinny być obowiązkiem kobiety przez prawa krajowe nakazanym. Stan zdrowia nie pozwala na to niektórym—stan zdrowia, coraz—to obniżający się u kobiety stanów wyższych, przez nadmierne wydeldkatnienie zbyt pieszczotliwego wychowania, przez brak ruchu i przeciążanie umysłów nauką, której nie równoważą potrzebne ćwiczenia ciała na świeżem powietrzu. Dawniej, gdy obyczaj prostszy i głębsze wejrzenie w przyszłe obowiązki kobiety nakazywały jej czynniejszą gospodarność, dziewczęta już zajmowały się otyłe w tym kierunku, że nie trzeba było sztucznej gimnastyki, która dziś staje się prawie wszędzie konieczną potrzebą, aby młode istoty wyrastały na kobiety uzdolnione do swoich przyszłych obowiązków w rodzinie i społeczeństwie. To więc powinny być raczej być nakazane kobiecie w imię jej powinności patriotycznych. — Tworzenie przymusowe batalionów i kompanii z młodych uczennic szkół rządowych i prywatnych, któreby ćwiczyły się w należytem rozwijaniu umysłów, powinny wejść w ustawę szkolną każdego kraju. Godząc się, czy nie, na ostatnią tę radę Niemek, należy niemniej przyznać w zasadzie najwyższą słuszność ich spostrzeżeniom i żądaniom poprawy wadliwego wychowywania kobiety, które coraz więcej czyni ją niezdolną do wypełniania zadań swoich w społeczeństwie.

— Jedną z ważniejszych gałęzi pracy kobiecej w Niemczech Południowych jest zajęcie przy fabrykacji zegarów. W Schwarzwaldzie w każdej z licznych tam fabryk takich zajętych jest kilkadziesiąt kobiet, tak przy właściwym wyrobie zegarów, jak przy politurowaniu drzewa. Fabryka w Lenzkirche liczy 53 robotnic. Przy pracy zegarmistrzowskiej kobiety: żony i córki robotników, pracujących od sztuki, pracują jako ich pomocnice; często przeciwko spotyka się kobiety, które wyrabiają bardzo dobrze i zrecznie całe zegary. W Lenzkirche jest takich 13. Politurowanie drzewa wyłącznie już oddano kobietom; w fabrykach pracują kobiety 12 godzin dziennie, ale ogół bierze robotę do domów i bywa płatym od sztuki, co jest najlepszym i ze wszystkich, tak moralnych, jak fizycznych, względów, najwłaściwszą postacią fabrycznej pracy kobiecej. Płaca jest tu jednak bardzo skromna, a nawet bardzo nędzna. Za wypolerowanie 200 par wskazówek zegarowych otrzymuje robotnica 1 markę fenigów 30; przeciwko dziennie nie może zarobić więcej nad 70 fenigów. Za wypolerowanie 100 sztuk kółek zegarkowych dostaje 60 fenigów, bo za ledwie może wypolerować ich 100 dziennie. Przy wygładzaniu dziurek w tarczach zegarowych może zarobić półtorej marki dziennie, ale praca jest trudna i wzrok męcząca. Zarobek to najwyższy; najniższy jest 60 fenigów.

— Wdowa po niemieckim malarzu i dyrektorze Muzeum w Salzburgu, J. Schiffmannie, została zawezwaną do Berlina, aby zajęła tam miejsce ochmistrzyni w szkole kunsztownych robót kobiecych. Szkoła ta zostaje pod protektorem następczyni tronu.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się powieści pod tytułem: **Sąd Boży**, arkuusz 11-ty.

TREŚĆ. Pożegnanie, (poezja), przez Szczęsną. — Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego w Tarnowie, (ciąg dalszy). — Któs, powieść, (dalszy ciąg) przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencja zagraniczna, Wiedeń. — Za Oceanem, (dalszy ciąg), przez Helenę Negroni. — Nowiny paryżskie, (dokończenie). — **Kronika działalności kobiecej.**

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Августа 1884 года.